

# KSIĘGA PAMIĄTKOWA WIELKIEJ WOJNY!

Dzieło to, wydane pod skromną nazwą **Kalendarza „Nowości Illustrowanych“ na rok 1916**, zawiera **illustrowany zbiór dokumentów obecnej wojny i jej dziejów na ziemiach Polski**. Oprócz opracowanej systematycznie historii wydarzeń wojennych (wraz z chronologią), poszczególne działy „Kalendarza“ dają tak w opisach, jak i w fotografiach, wyczerpujący obraz **zniszczenia w Polsce, polskiego tułactwa wojennego i działalności bojowej Legionów**.

Już tylko niewielka liczba egzemplarzy tego pamiątkowego wydawnictwa, które powinno znaleźć się w każdym domu polskim, jest do nabycia w Administracji „Nowości Illustrowanych“ po cenie:

**1 kor. 50 h.** za egzemplarz broszurowany, **2 kor.** za egzemplarz oprawny i **3 kor.** za egzemplarz w płóciennnej, ozdobnej oprawie.

## Kronika tygodniowa.

Rada miejska krakowska rozpoczęła już na dobre urzędowanie. Oświeżono nieco jej skład, powołując nowych członków w miejsce zmarłych i tych, którzy dobrowolnie ustąpili, wybrano też prezydium, będące głową tego autonomicznego ciała. Wiadomo z anatomii, że głowa sama nie mogłaby się kręcić na wszystkie strony, gdyby nie miała szyi, ma też i owa autonomiczna głowa szyję, która nią kręci, ale tej wybierać nie potrzeba. Przechodzi ona wraz z inwentarzem z jednej rady na drugą, a lubi po prostu stać w ukryciu, by o niej wiele nie mówiono, a ona mogła robić, co jej się podoba... naturalnie tylko dla dobra miasta.

Wybory do prezydium nie przyniosły nam żadnej niespodzianki. Fotel prezydencki zajął, jak mu się to zresztą należało, eksceleńcyja Leo, choć każdy z radców twierdzi, iż i jemu byłoby tam bardzo wygodnie, ale jest zbyt skromny, by się o ten zaszczyt ubiegał. Przynajmniej na razie, bo nie ulega kwestyi, że przyjdzie kiedyś czas i na owego fiołka, woniejącego gdzieś wśród autonomicznej murawy. Zastępcą pierwszym zamianowano pana Jana Kantego Federowicza, jeden z głównych filarów krakowskiej demokracji, dotychczas prezesa Izby handlowej, drugim pozostał nadal radca dworu Sare. Trzecim wiceprezydentem wybrano na podstawie układu z Podgórzem inżyniera Rollego. Wakuje natomiast fotel delegata Rady do prezydium, który kto wie, czy nie zamieni się na kanapę, aby na niej dwu mogło znaleźć wygodne miejsce. W najbliższym czasie sprawa ta zostanie rozstrzygnięta i wówczas będziemy mieć prezydium w komplecie.

Jak już poprzednio wspominałem, działalność Rady miejskiej napotka nieraz na przeszkody ze względu na wojenne czasy, sądzę przecież, że panowie rajcy wezmą się ostro do rzeczy i pokażą, iż są prawdziwymi ojcami miasta nie tylko myślą i mową, ale co najważniejsza także i uczynkiem, by kiedyś poeta opiewający działalność s. p. Rady, skoro legnie już na wieczny spoczynek, nie potrzebował pisać, że „ino otręby, lecą jej z gęby“.

Najważniejszą dziś kwestyą, godzącą nie tyle w serce społeczeństwa, ile raczej w jego żołądek, jest aprowizacyja miasta, trzeba powiedzieć z każdym dniem trudniejsza. Jak dotąd, komisya aprowizacyjna, która w wojennym czasie zabrała się naprawdę do pracy i nie jest, jak to było przed wojną, tylko zebrań raz na rok lub kwartał siedmiu braci śpiących, celem urzędowego pokiwania głowami i drzemki podczas odczytywania referatu, zdziałała bardzo wiele. Dzięki energicznym zarządzeniom mamy właściwie

wszystko, czego nam potrzeba, może nie w tej ilości, co dawniej, w każdym przecież razie w wystarczającej do zaspokojenia nieodzownych potrzeb.

Prawda, że czasem brak tego lub owego artykułu, ale w tym wypadku wina nie komisji aprowizacyjnej, ale najrozmaitszych centrali cinkowych, kawowych, spirytusowych i jak się one tam jeszcze nazywają,

Narzekamy wprawdzie na drożyznę, ale tak być musi, skoro produkcya niezbędnych do życia artykułów jest obecnie ograniczona, w każdym przecież razie jesteśmy jeszcze w lepszej skórze niż wielkie miasta na zachodzie,

Porównując te ceny z naszymi i dodając do tego jeszcze, że tamtejsze porce są więcej eleganckie, to jest mniejsze, musi się przyznać, że u nas nie jest jeszcze najgorzej. Bo też Galicya jest krajem rolniczym i nawet dziś, w czasie wojny, gdybyśmy nie wywozili stąd tak wiele, mielibyśmy wszystkiego podostatkim. Ale to znów bardzo pięknie, iż w biedzie dzielimy się po braterszemu, kto ma mniej. Oby on tylko uznał to i był nam potem za to wdzięczny!

Teraz dopiero otwierają się oczy Wiedeńczykom, iż nie mieli racji, mówiąc: *Aus Polen ist nichts zu holen*. Dopóki *Polen*, to jest Galicya, miała dużo, nie brakło też nic i Wiedniowi, codziennie zjeżdżały tam od wschodu pociągi z bydelkami, jarzynkami, masłem. A wszystko było takie dobre, że paluszki liżać, co zaś najważniejsze, nie drogie. Wiedeńczycy jedli, ale stękali, że Galicya drogo ich kosztuje, bo znów zapomnieli, że stąd jedzie sól, nafta, węgiel, drzewo, cynk, żelazo i tym podobne materiały surowe, które, na zachodzie przerobione, wracają potem do swojego miejsca urodzenia, ale już po podwójnej lub potrójnej cenie.

Tymczasem przyszła wojna i sytuacja się zmieniła. Pokazało się, co dla monarchii, a głównie dla Wiednia znaczyła Galicya, dostarczająca tamtejszym żołądkom wszystkiego tego, co im do należytego funkcjonowania jest koniecznie potrzebne. Także i zachodni przemysł, pozbawiony galicyjskiego surowca, zaczął kuleć, co zaś najważniejsze, Galicya zniszczona pożogą wojenną nie mogła być już owym rynkiem łatwego zbytu dla tamtejszych przedsiębiorców.

Zaczęto więc wzdychać w stronę Galicyi i poznano się na jej wartości, choć może trochę późno. Ale zawsze lepiej późno, niż nigdy. Choć także i teraz jeszcze nie wszyscy, gdyż są na przykład wiedeńscy architekci, którzy po długich naradach uchwalili, że przy ewentualnej odbudowie Galicyi należy im się siedmiesiąt pięć procent roboty. Pozostałe dwadzieścia pięć ofiarują łaskawie naszym architektom, inżynierom i budowniczym, według ich bowiem zdania większą wartość i znaczenie ma technik, który ukończył studia na zachodzie, choć nie zna kraju, zwyczajów jego i obyczajów i stosunków.

Wyobrażam sobie, jak malowniczo wyglądałaby wieś polska, odbudowana według planów jakiegoś pana z dalekiego zachodu. Byłaby może zaopatrzona w proste ulice, domy byłyby zapewne bardziej stylowe, niż dotychczasowe kryte strzechą chaty, malowniczość przecież i poezya wsi polskiej zginęłaby z horyzontu raz na zawsze.

Nasi architekci pracują już nad tem, na studia przygotowawcze wydano już moc pieniędzy, radzono też zawzięcie, jaki styl ma mieć pierwszeństwo, choć ja powiadam, niechaj sobie będzie styl, jaki mu się podoba, byle było z czego i gdzie budować i człowiek raz już miał gwarancję, że mu tego nie zniszczą.

Boć, kto wie, jakie jeszcze tajemnice kryje w sobie przyszłość? Dwa lata wojny już dzięki Bogu minęły, przetrwaliśmy szczęśliwie te straszne czasy, ale co będzie dalej?... Jak to jeszcze długo potrwa?... Wszak w chwili wybuchu wojny twierdzili naj-

wieksi strategicy, statysci (ale nie teatralni!) i znawcy polityki, że za sześć miesięcy najdalej musi być koniec, gdyż dłużej nikt nie wytrzyma. Do tego nie wiedziano o grubych Bertach, takichże „wujkach“, zapoznawano wartość bojową aeroplanów, Zeppelinów, łodzi podwodnych, nie miano pojęcia, jakie znaczenie mają ataki gazowe, miotanie ognia i t. p., a przecież, mimo to wszystko, wojna, z powodów od Redakcyi niezależnych, trwa już pełne dwa lata!

W tej wielkiej grze światowej mają podobno teraz być wygrane ostatnie najważniejsze atuty, które będą owym ziarnkiem piasku, zapowiadaniem przez panią de Thèbes, iż ono zmusi do milczenia armaty i karabiny. No i kto wobec tego wie, czy nie spełni się przepowiednia owego wszystkowiedzącego galicyjskiego żydka, twierdzącego z uporem, że wojna musi się skończyć i to w tym żydowskim miesiącu, któryby się zaczynał we wtorek. A takim jest dopiero *Thebet*, którego pierwszy dzień schodzi się z naszym dwudziestym szóstym grudnia (wtorek). — Taki był już *Nizam* (4 kwietnia), ale wówczas o końcu wojny i pokoju ani mowy nie było.

Według rzymskiego kalendarza miesiącami takimi są luty (już minął) i sierpień, który się właśnie rozpoczyna. Ponieważ wojna w swoim czasie zaczęła się właśnie w sierpniu, byłoby też słusznem, by się też i w sierpniu skończyła, a tegoroczny uważam za najwłaściwszy, gdyż do przyszłego roku czekać mi już zbyt długo, nawet do lutego.

Czekam więc, który kalendarz zwycięży, rzymski, czy żydowski, a tymczasem, czyniąc zadość żądaniu jednej z pań pocztmistrzyń z Galicyi, prostuję niniejszem wzmiankę, jaką uczyniłem w numerze trzydziestym *Nowości illustrowanych* z dnia 22 lipca b. r., czem uczu'a się obrażoną.

Napisałem tam mniej więcej tyle, iż w niejednej zapadłej Pipidówce dzieją się brzydkie bardzo rzeczy, gazety bowiem nie dochodzą tam wcale, albo dochodzą z kilkunastodniowym opóźnieniem, a doręczane bywają dopiero po przeczytaniu ich dokładnem przez panią pocztmistrzynię i całą jej rodzinę...

Przedewszystkiem zastrzegam się przeciw temu, jakobym miał specjalnie, używając wyrażenia „pocztmistrzyni“, na myśli tylko urzędy, które zostają pod zarządem pań pocztmistrzyń, choć w owym wypadku należało się wysłowić „i pocztmistrzowa“... Przyznaję, że jest w Galicji, na Śląsku, Bukowinie i t. d. bardzo wiele urzędów, wzorowo prowadzonych, skąd, jak rok długi, nie otrzymujemy ani jednej reklamacji, nie brak jednak i takich, z których ciągle nadchodzą od prenumeratorów skargi, nieraz opierające się aż o Dyrekcyę poczt, iż otrzymują numery pisma spóźnione i w stanie bardzo opłakany. Z jaką zaś skrupulatnością odbywa się ekspedycja *Nowości*, mogą poświadczyć wyższe organa pocztowe, które ją kilkakrotnie kontrolowały i uznają swe wyrażyły. Ale to nic nie pomogło, reklamacyjna biblioteka zwiększała się z dnia na dzień i stale się zwiększa i to nie tylko „z zapadłych Pipidówek“, ale i z bardzo wielkich. Dopiero przed trzema, czy czterema dniami narzekał przedemną pewien pan, mieszkający w mieście (nie powiem jednak które!), iż *Nowości* albo nie otrzymuje wcale, a jeśli otrzyma, to spóźnione, z poprzecinaniami już kartkami, nierazko też poplamione i t. d. Ktoś więc już je oglądał w międzyczasie od cłwili nadania na pocztę do chwili doręczenia. Ale kto, gdzie i kiedy, tego trudno dojść, a trudno też każdą taką sprawą kłopotać głowę Dyrekcyi, mającej dość do czynienia. Kniemy więc po cichu i sprawę pchamy do kosza, czasem przecież brakuje cierpliwości, jak to było w tym wypadku, za który cierpię. Co zaś najgorsze, obrażają się o to osoby, które najmniej mają do tego powodu.

Jednem słowem, zbłądziłem, używając wyrażenia „pocztmistrzyni“, zamiast „funkcjonariusze pocztowi i ich rodziny“, za co ogół pań pocztmistrzyń na ręce obrażonej pani B. w K. niniejszem z całą gotowością przepraszam, zaznaczając, że z miejsca jej urzędowania, o ile wiem, żadnych dotąd reklamacji nie mieliśmy, z innych natomiast dosyć... Sądzę, że tyle wystarczy, aby między nami zapanowała znowu zgoda. Chyba pani, jako kobieta, nie zechce mnie wpakować do kryminału, gdzie zginąłbym marnie, zdala od mej Weronisi, która też nie przeniosłaby takiej bolesnej straty, ale razem ze mną powędrowałaby tam, gdzie sprostowania nie mają znaczenia, gdzie niema poczt, redakcyi i t. d. Zapewniam zaś, że po śmierci obydwójce straszylibyśmy prześladowców!

